

Witold Morawski

Gospodarka – nie spełnione nadzieje

„Polski cykl”

Zmierzch socjalizmu państwowego można analizować za pomocą pojęcia „błędne koło” między gospodarką, polityką i społeczeństwem, co oznaczać ma, że systemy te ukształtowały mechanizm wzajemnie negatywnych sprzężeń zwrotnych. Nie chcę jednak sugerować, że powiązania gospodarki z polityką (czy społeczeństwem) były przedtem kiedykolwiek proste, np. że gospodarka – będąc całkowicie podporządkowana polityce – nie mogła mieć „własnej historii”, że była tylko częścią historii politycznej.

Czasami daje się przykład gospodarki radzieckiej jako ilustrację tej tezy, ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Gospodarka ta miała własną historię, choć była w najwyższym stopniu spolityzowana. To uzasadnia potrzebę zajmowania się „powiązaniami” między systemami. Dla gospodarki radzieckiej, której model był swego czasu w Polsce wytrwale kopiowany, charakterystyczne było jakby „falowanie”, a więc raz mniejsze, a kiedy indziej większe podporządkowanie gospodarki polityce.

Polskie doświadczenia różnią się od radzieckich bardzo poważnie. Nade wszystko tym, że ukształtował się cykl polityczno-ekonomiczny z bardzo silnym komponentem społecznym, którego wyrazem były masowe protesty społeczne w 1956, 1970 i 1980 r. Takiej regularności nie obserwowano w innych krajach regionu. Stąd propozycja – zresztą nie nowa – by nazwać to „polskim cyklem”. Każdorazowo protesty społeczeństwa powodowały zmiany we wzajemnych relacjach między gospodarką i polityką. Zmiany te polegały, po pierwsze, na poszerzaniu partycypacji pracowniczej w decyzjach produkcyjno-ekonomicznych (po wydarzeniach w 1956 r. i w 1980 r.), co wzmacniało działania takich społecznych aktorów, jak samorządy załóg czy związki zawodowe w kierunku przyspieszania decentralizacji gospodarczej, po drugie, na zwiększaniu wydatków na konsumpcję kosztem inwestycji (w 1956 roku i w mniejszym stopniu po 1970 roku). Choć system społeczny przyczyniał się, zwłaszcza po 1980 r., do powiększenia autonomii gospodarki wobec polityki, to gospodarka nie stała się jednak autonomiczna. W szóstym roku zmiany systemowej można spotkać się z tezą, moim zdaniem wątpliwą, że nawet pewna chaotyczność polityki w Polsce nie przeszkadza rozwojowi gospodarki, ponieważ jej autonomia jest jakoby już duża.

Fałszywa modernizacja

Wkresie socjalizmu państwowego podjęto nieudaną próbę modernizacji gospodarki. W pewnym momencie przywódcom politycznym wydawało się nawet, że możliwe jest doświadczenie Zachodu.

W 1953 roku B. Bierut oświadczył: *Dziś Polska Ludowa wyprzedziła Włochy nie tylko pod względem wielkości produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca, ale i pod względem absolutnej wielkości produkcji. W stosunku do Francji zbliżamy się do jej produkcji na 1 mieszkańca (obecny nasz poziom wynosi ok. 92% jej produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca) i niewątpliwie bardzo szybko wyprzedzimy ją pod tym względem* (B. Bierut, *Zadania partii w walce o szybsze podniesienie stopy życiowej mas pracujących w obecnym okresie budownictwa socjalistycznego*, „Nowe Drogi” 1953, nr. 10).

Modernizacja nasza była fałszywa. Można powiedzieć, że była bardziej fałszywa niż pozorna. Osiągnięto bowiem rzeczywiście różnego rodzaju przyrosty produkcji, budowano wiele fabryk, zwiększano zatrudnienie w przemyśle, otwierano szkoły techniczne itd. Wysiłek ten oparty był jednak na fałszywych przesłankach, nie uwzględniano bowiem takich zdobyczy cywilizacyjnych, jak rynek, demokracja, wolność jednostki i prawa człowieka, rządy prawa. Powodowało to zapóźnienia dwojakiego rodzaju:

- po pierwsze, dotyczące sfery regulacji, gdyż klęskami kończyły się próby reform decentralizacyjnych (przekazywania uprawnień dyrekcjom, czyli reform technokratycznych) jak też – choć tu można mówić o małych sukcesach – reform uspołecznionych (decentralizacja na rzecz aktorów społecznych);
- po drugie, dotyczące sfery realnej, ponieważ nie tylko tempo wzrostu gospodarczego zaczęło spadać od lat sześćdziesiątych, ale i efektywność gospodarcza stawała się coraz niższa.

Krytykowano wszakże wówczas nie tyle samo uprzedmiotowienie, jego cele, czy nawet sposoby realizacji, co niemożność pokonania barier związanych z rewolucją naukowo-techniczną. Postęp naukowo-techniczny kierował uwagę na zupełnie nowe siły napędowe: na ludzi związanych z nauką i techniką, na organizację i zarządzanie, na nowoczesną administrację, nowe działy produkcji itd. Trzeba było jednak zapłacić pewną cenę za próbę wejścia na nową trajektorię rozwoju. Ta cena wydawała się wówczas dotyczyć tylko ideologii.

Taką cenę gotów był, jak się wydaje, zapłacić czeski zespół, który pod kierunkiem R. Richty przygotował książkę *Cywilizacja na rozdrożu*. Richta zapowiadał nie tylko ożenek nowych sił wytwórczych i zmian społecznych, ale daleko idące zmiany polityczne, gdyż rewolucja naukowo-techniczna miała upodabniać odmienne systemy ustrojowe (konwergencja) w kierunku jednak socjalistycznym. W ujęciach zachodnich proces konwergencji miał natomiast prowadzić do upodabniania się krajów socjalistycznych do kapitalistycznych (W. Morawski, *Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji*, Warszawa, PWN 1975).

O ile zdobycze rewolucji naukowo-technicznej stawały się na Zachodzie przesłankami mniej lub bardziej uzasadnionych empirycznie koncepcji inżynierii społecznej, o tyle w krajach socjalistycznych mocno widoczny był ich ideologiczny i manipulacyjny wręcz wymiar. Podobnie jak wcześniej teorie marksistowskie eksponowały wszechmoc czynnika politycznego, tak w latach siedemdziesiątych umacniana była nadzieja, że rewolucja naukowo-techniczna może przyczynić się do utrzymania harmonii społecznej (faktycznie nie istniejącej, wydarzenia z grudnia 1970). Zwiększona efektywność ekonomiczna na bazie nauki i technologii stała się nową iluzją, nie uzasadniała nadziei na modernizację kraju. Przesądzał o tym kontekst polityczny, w którym nie wyczuwało się chęci zmiany.

Gospodarka a upadek systemu

Po okresie rozbudzanych nadziei przyszło wielkie załamanie gospodarki pod koniec lat siedemdziesiątych, które przekreślało nadzieje na możliwość umocnienia się pragmatycznych, nienormatywnych, niepolitycznych uzasadnień dla dalszego społecznego przyzwolenia na system. To przyzwolenie było cofane przez społeczeństwo od drugiej połowy lat sześćdziesiątych (przez inteligencję — 1968, przez robotników — 1970). Ponieważ po wojnie system nigdy nie miał legitymacji normatywnej (a tylko pragmatyczną do pewnego czasu), nie było to niczym nowym. Nowe było tylko to, że kryzys gospodarczy doprowadził do ostatecznego zwątpienia w system przez część elity władzy, a erozja przekonań w elicie jest zawsze śmiertelnym zagrożeniem dla każdego systemu (teza A. de Toqueville'a).

Otwarty kryzys polityczno-ekonomiczny przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stał się wtedy kryzysem pełzającym. Dla porównania dodam, że raczej nieudanymi okazały się też reformy: węgierska (eksperyment z regulowanym rynkiem, wariant technokratyczny) i jugosłowiańska (eksperyment z socjalizmem samorządowym). Obie te reformy w swoim czasie zdobywały zasłużenie pozytywne oceny, co było w części dowartościowaniem ich rozmiaru na tle braku jakichkolwiek reform w innych krajach regionu. Efekt kredytów zagranicznych okazał się — dodam — raczej perwersyjny, bo uzależniał Polskę od Zachodu, a w pewnym momencie międzynarodowe agencje finansowe zaczęły stawiać warunki, które trudno było Polsce spełnić. Z tego powodu nie do rzadkości należą zwolennicy tezy, że narzuciło to konieczność wyboru drogi kapitalistycznej, bo przekreślało szanse na „trzecią drogę” wtedy, kiedy możliwości takiego wyboru się pojawiły (R. G. Hill, *Revolutions waiting to happen. An analysis of the revolutions of 1989*, 1992 Proposal for BSA conference „A New Europe”, manuscript).

Jaka była rola gospodarki w upadku systemu? W świetle dotychczasowych uwag można byłoby odnieść wrażenie, że losy systemu rozstrzygnęły się w sferze ekonomicznej, to znaczy, że upadek gospodarki prowadzić musiał do upadku systemu jako całości. Takie stanowisko byłoby ekonomicznym determinizmem i nie odpowiada głównej myśli tego tekstu. Otóż twierdzą tylko, że zły stan gospodarki — niektórzy uważają, że nie była ona w stanie

szczególnie złym (K. Poznański, *An Interperation of Communist Decay: The Role of Evolutionary Mechanisms*, „Communist and Post-Communist Studies” 1993, March, vol. 26. no. 1), stał się podłożem, na którym mogły się aktywizować inne czynniki. Ostatecznie upadek systemu można tyleż samo wiązać ze złym stanem gospodarki, co z narastającym sprzeciwem społeczeństwa wobec władzy czy nieefektywnością systemu politycznego. Klęska gospodarki była warunkiem niezbędnym, ale nie wystarczającym upadku reżimu, przynajmniej w Polsce.

Ortodoksyjny liberalizm w natarciu

Erozja woli działania wśród elity władzy może być przeciwstawiona woli działania, organizacji i radykalizmowi opozycji politycznej od drugiej połowy lat siedemdziesiątych, a zwłaszcza od utworzenia Solidarności. Ale trzeba zauważyć, że po stronie opozycyjnej kaliber myślenia o problemach gospodarczych i innych nie różnił się dalece od reprezentowanego przez władzę. Z całą pewnością alternatywne wobec oficjalnego myślenie cechowało bardziej całościowe podejście do problemów kraju, o czym dobrze świadczą np. raporty zespołu „Doświadczenie i przyszłość”. Wziąwszy pod uwagę obecnie realizowany kierunek zmian, można uznać publikację M. Dzielskiego za jakość wyższego rzędu (*Widzieć mądrość w wolności. Księga pamięci Mirosława Dzielskiego*, red. B. Chrobot, Kraków 1991). Ogólnie powiedzmy, że koncepcje, jakie formowała opozycja były zbieżne z oficjalnymi, a ich sens sprowadzał się do idei samorządnego przedsiębiorstwa, regulowanej gospodarki, wielosektorowości gospodarki itd. Podobnie oceniać można ustalenia „okrągłego stołu”, które również pokazują zbieżność stanowisk. Diagnozy, terapie i prognozy, jakie produkowały obie strony w latach osiemdziesiątych bazowały na idei „trzeciej drogi”, a ta okazała się kolejną iluzją w świetle decyzji o budowie gospodarki rynkowo-prywatnej (1988–1990). Ta ostatnia jest formą radykalnej aplikacji założeń gospodarki wolnorynkowej. Gdyby przyjąć, że terapia szokowa jest właściwą drogą, to chcąc pozostać konsekwentnym, trzeba byłoby powiedzieć, że zgłoszone w latach osiemdziesiątych ewolucyjne koncepcje zmiany ekonomicznej były niedojrzałe i nierealistyczne. Proponuję taką właśnie ocenę przyjąć, ale nie ze względu na jej walor ogólny, który jest dla niej bardziej korzystny, a tylko ze względu na spłot okoliczności w Polsce, który sprawił, że są powody, by strategii tej nie oceniać całkiem negatywnie. Kłopot z zajęciem zdecydowanego stanowiska polega — mówiąc skrótowo — na określeniu różnicy między niezbędnym w warunkach zmiany systemowej *minimal bang* a *big bang*.

Analizę pogarszają sami adwokaci strategii „terapii szokowej” i tak dzieje się niemal od samego początku. Dla realizatorów terapii szokowej nawet idea „socjalnej gospodarki rynkowej”, praktykowanej w wielu krajach zachodnich, np. w RFN, była nieakceptowalna. W ramach paradygmatu, zwanego neoliberalnym, gospodarka jest czynnikiem zupełnie autonomicznym, który określa warunki brzegowe dla tego, co się dzieje w społeczeństwie i polityce. Wedle oficjalnych sformułowań to nie kwestie

socjalne czy demokracja miały rozstrzygać o logice strategii ekonomicznej, a potrzeba budowy wolnego rynku (L. Balcerowicz, *Demokracja nie zastąpi kapitalizmu*, „Polityka”, 10.X.1992). Terapię szokową określać trzeba — choć wahadło ma prawo do wychylania się w przeciwną stronę — jako moralną krucjatę na rzecz fundamentalizmu rynkowego. Przypomina to niektórym autorom kapitalizm sprzed dwóch wieków:

„W pierwszych pięciu latach po przejściu nawet najbardziej zwycięskie gospodarki Wschodniej Europy zdołały ustanowić tylko system «pseudo-kapitalizmu». Jest to «pseudo», ponieważ, z czysto ideologicznych motywów, zaledwie kilka ważnych instytucji zostało dotąd zbudowanych dla zabezpieczenia długoterminowej akumulacji kapitału. Dowodzimy, że wschodnio-europejskie osiągnięcia, poniżej potencjału możliwości (i politycznej niestabilności), wynikają z kopiowania złego kapitalistycznego modelu, dobrowolnie lub inaczej.” (A. H. Amsden, J. Kochanowicz, L. Taylor, *From Pseudo-Socialism to Pseudo-Capitalism: Eastern Europe's First Five Years*, „Politics und Gesellschaft”, 1994, nr. 2).

Ortodoksów neoliberalizmu zaczęto postrzegać, zwłaszcza na lewicy, albo jako moralizatorów albo też jako takich ekonomistów, którzy zapominają, że gospodarka jest dla ludzi. W bardziej błyskotliwym wydaniu uwagi te brzmią następująco:

„Teoretycy komunizmu powoływali się niegdyś na model sowiecki, oczywiście idealizowany jako uniwersalnie ważny. Dokładnie tak samo postępują nasi liberałowie-konserwatyści. W obu przypadkach instytucje są po to, by stać na straży modelu. U komunistów była to Armia Czerwona, u liberałów zaś — demokracja, ... ale niestety nie wywiązują się ze swoich działań. Janusz Lewandowski wybiera więc Wałęsę. Czekać na Pinochetą” (K. Woliński, Kryzys rządowy, „Kultura”, Paryż 1995, nr 3/570, s. 82).

Krytyki neoliberalnego paradygmatu są coraz bardziej zniuansowane. Płyną z dwóch zupełnie różnych kierunków. Początkowo pochodziły głównie z pozycji socjaldemokratycznych (T. Kowalik, *W stronę umowy społecznej*, „Przegląd społeczny”, 1992, 1 (kwiecień); K. Modzelewski, *Wobec historycznego wyzwania*, „Przegląd społeczny”, 1992, 1 (kwiecień). Zarzucano ortodoksom pomijanie spraw socjalnych, pozbawianie państwa prerogatyw wtedy, kiedy gospodarka i społeczeństwo ma wobec niego liczne oczekiwania, niedbałość o wielosektorową gospodarkę, prywatyzację na siłę, tworzenie armii bezrobotnych i tzw. dziki kapitalizm, zbyt szybkie wystawianie gospodarki na konkurencję zewnętrzną, konstruktywizm itd.

Mniej intensywne były krytyki paradygmatu z pozycji konserwatywno-liberalnych. W Polsce są to z reguły krytyki hałaśliwe, polegające na ciągłych zaleceniach, że należy konsekwentniej, szybciej i ostrzej kontynuować terapię szokową (np. wprowadzać prywatną służbę zdrowia, odpłatną oświatę czy reorganizować system ubezpieczeń). Nie wnoszą one zwykle nowych treści, są raczej rzucaniem różnych zaklęć przez ekonomicznych czarno-księżników.

Nieporównanie bardziej interesująca jest zachodnia krytyka terapii szokowej z pozycji konserwatywnej filozo-

fii politycznej i ewolucyjnej teorii zmiany ekonomicznej, krytyka, która jest dotąd w Polsce przemilczana. Dla tej krytyki filozofia *big bang* jest formą utopijnego myślenia i związanego z nią rewolucyjnego działania. Tymczasem, jak dowodzili tego Burke, Popper, Oakeshott czy Hayek, o wiele bardziej adekwatna byłaby strategia gradualna. Po pierwsze dlatego, że jest efektywniejsza ekonomicznie, opiera się bowiem na sprawdzonej wiedzy praktycznej (wiedzy ukrytej, osobistej), a nie tylko pomysłach abstrakcyjnego rozumu, które nie zasługują na miano „twórczej destrukcji”, po drugie dlatego, że zapewnia „minimum uwagi dla funkcjonalnych potrzeb społeczeństwa” (P. Murrell, *Conservative Political Philosophy and the Strategy of Economic Transition*, „East European Politics and Societies”, vol. 6, No. 1, Winter 1992). Są autorzy, którzy nie wahają się porównywać tej strategii do „bolszewizmu” (D. Stark, *Path Dependence and Privatization Strategies in East central Europe*, „East European Politics and Societies”, vol. 6, No. 1, Winter 1992).

Wszyscy ci autorzy uznają stabilizację gospodarczą, liberalizację cen, restrukturalizację produkcji, zmiany instytucjonalne (w tym prywatyzację) jako cele, które nie mogą budzić większych wątpliwości, natomiast wszyscy oni mają wątpliwości wobec radykalnych metod ich osiągnięcia. Przekonanie o potrzebie robienia wszystkiego naraz i szybko wypływa z ogólnej teorii równowagi, która ignoruje sposób dojścia, bo zaleca szybko skakać w przepaść. Pisz R. Porters:

„Hipoteza, że «big bang» jest najbardziej efektywną drogą jest nietestowalna, ... Zawsze jest możliwe zwalić winę za porażkę programu na to, co zostało opuszczone lub wprowadzone niewłaściwie. Niewłaściwe rezultaty polskiego pakietu są np. przypisane opóźnieniom w prywatyzacji...” (R. Porters, *From central Planning to a Market Economy*, [in:] *Making Markets: Economic Transformation in Eastern Europe and Post-Soviet States*, eds. S. Islam and M. Mandelbaum, New York: Council on Foreign relations 1993, p. 30).

Nie można się oprzeć wrażeniu, że w tekstach ekonomicznych, jak zwykle poza wyjątkami, widać silne oczekiwanie, że gospodarka jest jedynym kołem zamachowym zmiany systemowej. Na przykładzie niemal każdego problemu ekonomicznego można tymczasem dowodzić, że bariery społeczno-kulturowe i bariery polityczne są równie ważne. Na przykład, sprawa imitacji wzoru zachodniego jest jednym ze standardowych postulatów reformatorów gospodarczych. Otóż liczba ograniczeń lokalnych jest tak duża, że — oprócz wielu nie kontrolowalnych niewiadomych z zewnątrz — nawet ten słuszny postulat, przynajmniej (na gruncie ekonomicznym), napotyka na przeszkody najrozmaitszej natury, które z całą pewnością osłabiają pewność, co do samej idei imitacji. Wystarczy prześledzić historię Wspólnot Europejskich, by spodziewać się czegoś podobnego, a zapewne gorszego nawet obrotu sprawy, a to ze względu na różnice potencjałów gospodarczych, które są jak 1:4 na niekorzyść krajów Europy Środkowowschodniej (A.C. Janos, *Continuity and Change in Eastern Europe: Strategies of Post-Communist Politics*, „East European Politics and Societies”, Winter 1994, vol. 8 No. 1).

Modernizacja państwa warunkiem modernizacji ekonomicznej

Lista przeszkód, które utrudniają gospodarce zajęcie przypisywanej jej przez ekonomistów roli jest długa i ponieważ są wśród nich uwarunkowania pozaekonomiczne, to tym trudniej o jakiekolwiek szacunki ilościowe. Obecnie uwaga koncentruje się, z jednej strony, na korzyściach, jakie wynoszą z prywatyzacji ludzie starej i nowej nomenklatury (kapitalizm polityczny), a z drugiej, na rosnących różnicach w stopie życiowej i biedzie, co sprawia, że istnieje możliwość wykorzystania tendencji populistycznych dla osłabienia demokracji i nawet wprowadzenia rządów autorytarnych. Taki obrót przybierają już sprawy nie tylko w państwach WNP. Co do samej demokracji, to trzeba powiedzieć, że jej działanie jest niemal zawsze przeciw niepokonanemu wolnemu rynkowi, bo demokracja stara się go kontrolować (tak chcą różne potężne siły społeczne). Jest to dobrze znane od czasów upowszechniania się demokracji politycznej na Zachodzie pod koniec XIX wieku. Następuje więc u nas uznanie faktu, który sami neoliberalowie doskonale znali, ale w swoim doktrynalnym zaciętrzewieniu rzadko uznawali publicznie, a mianowicie, że gospodarka nie może do końca działać autonomicznie, że musi być czuła na reakcje społeczeństwa, a przede wszystkim, że jest uzależniona od czynnika politycznego, od sprawności państwa, od jego instytucjonalnej efektywności. Trafnie obecnie sytuację uogólnia L. Balcerowicz:

„Dlaczego system polityczny jest w Polsce tak istotny? Po pierwsze dlatego, że choć gospodarka zmniejszyła swoją zależność od polityki, ale nie stała się całkowicie autonomiczna i nigdy całkowicie się nie stanie. Bo są nieuchronne, istniejące w każdym kraju, powiązania między tym, co nazywa się makroekonomią a polityką — ile wyniesie inflacja, a zatem jak duże będzie obciążenie gospodarki podatkami, jakie wydatki budżetu, a zatem, jak szybki będzie rozwój. Drugie sprzężenie gospodarki i polityki to tempo reform, których przeprowadzenie zależy od państwa. Kraje postsocjalistyczne mają na tej drodze więcej do zrobienia niż te o ustabilizowanej gospodarce rynkowej i demokracji” (Niezwykle poważna decyzja, rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem z Unii Wolności — Małgorzata Subotic, „Rzeczpospolita”, 20 lutego 1995).

Takie stanowisko jest słuszne, choć należy raczej do rzadkości. Teza, że modernizacja państwa jest warunkiem modernizacji gospodarki, niezbyt dobrze pasuje do filozofii ortodoksji neoliberalnej, w której to „prywatni”, naturalni aktorzy (chodzi głównie o przedsiębiorstwa prywatne), wyjęci z XIX-wiecznych podręczników, mają być demiurgiem zmiany. Na zasadzie odwrotności — dodam — że kiedyś takim demiurgiem miało być państwo partyjne. Teza o nadrzędności modernizacji państwa nad modernizacją gospodarki na pierwszy rzut może wydać się sprzeczna z tezą o potrzebie uczynienia gospodarki w pełni autonomicznej, ale tak nie musi być. Gospodarka nigdy nie była w pełni autonomiczna, a jeśli za taką uznać gospodarkę leserferystyczną — przez krótki zresztą czas — to była taką, jako konsekwencja decyzji politycznych (K. Polanyi, *The Great Transformation*, Boston: Beacon Press 1965).

W Polsce znaczenie gospodarki rośnie. Osiąganie przez nią względnej autonomii jest pożądane, jest spełnieniem

nadziei, których długo nie udawało się zrealizować. Równocześnie osiąganie względnej autonomii, trzeba to podkreślić, nie odbywa się i odbywać nie może bez aktywnego udziału czynnika politycznego (państwa) i społeczno-kulturowego (społeczeństwa). Zwłaszcza w warunkach, kiedy zmieniane są wszystkie niemal reguły gry, bo przecież nawet w normalnej gospodarce rynkowej kontekst instytucjonalny kształtuje organizacje ekonomiczne w trojaki sposób przez:

- izomorfizm przymusowy, tj. formalne i nieformalne presje wywierane przez instytucje państwowe i inne;
- izomorfizm mimetyczny, tj. imitacyjne na ogół reakcje organizacji na warunki niepewności;
- izomorfizm normatywny, tj. związany z funkcjonowaniem norm profesjonalnych w otoczeniu (P.J. DiMaggio and W.W. Powell, *The Iron Cage Revisited: Institutional Isomorphism and Collective Rationality in Organizational Fields*, [in:] *The New Institutionalism in Organizational Analysis*, Chicago: The University of Chicago Press, 1991).

Szczególnie interesujący jest izomorfizm przymusowy, bowiem w toku zmiany systemowej rola ustroju politycznego jest dużo większa niż w normalnej gospodarce rynkowej. Wtedy bowiem gospodarka tym bardziej przestaje być nie tylko domeną „prywatną”, a staje się przedmiotem namysłu i decyzji „publicznych”. Wtedy to nawet tzw. prywatni aktorzy (nie mówiąc o tym, że mamy nadal wielu aktorów państwowych) pełnią funkcje przypisane im przez kolektywne ciała publiczne.

Wzajemna penetracja sfery publicznej i prywatnej oczekiwała się wielu analiz na gruncie gospodarki kapitalistycznej, nie ma więc powodu pozostawać ciągle w kręgu przestarzałych i abstrakcyjnych formuł z XIX wieku. Nie ma powodu, by nie uważać instytucjonalnej zmiany w systemie politycznym jako strategicznego warunku powodzenia reform rynkowo-prywatyzacyjnych. Trudno sobie wyobrazić, np. prywatyzację bez adekwatnych ram formalno-prawnych (ustawodawstwo). Co jeszcze trudniejsze, to ukształtowanie mechanizmów respektowania państwa, które staje na straży nie tylko poszanowania praw własności, ale funkcjonowania organizacji ekonomicznych zgodnie z ładem normatywnym racjonalnego społeczeństwa, ucieleśnionym w prawodawstwie np. w odniesieniu do ekologii, etyki biznesu itd.

Na tle takich dylematów rodzą się łatwo — i często — wśród neoliberalów pokusy, by popierać silne państwo, nawet państwo autorytarne, jako pożądanego gwaranta rządów prawa. Jest to „zasłużony los”, jaki ich spotkał, bo jeszcze kilka lat temu nie widzieli żadnych granic dla autonomizacji. Na szczęście chęć wepchnięcia gospodarki w ramiona autorytarnego reżimu politycznego przyciąga atrakcyjnością tylko nielicznych dinozaurów.

Podsumowując: wysiłek, by skutecznie depolityzować gospodarkę jest skazany na niepowodzenie, gdyż ustrój polityczny, zwłaszcza państwo, jest kontekstem niezwykłym. Niewątpliwie zmiana systemowa podtrzymywać będzie skutecznie ważną rolę państwa w „konstruowaniu” organizacji gospodarczych. Nawet konsolidacja systemu gospodarczego tego wpływu nie zlikwiduje, choć wtedy rola autochtonicznych, prywatnych organizacji stanie się bardziej widoczna.

Witold Morawski

Autor — prof. zw. dr hab. jest kierownikiem Zakładu Socjologii Pracy i Organizacji Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.